

AWANS KOPCIUSZKA

Historię Anny-Marii Rasmussen popularne magazyny ilustrowane rozdmuchały na zachodzie do rzędu sensacji światowej, głośniejszej niż sławy i skandaliki rodzin królewskich. Nie chodziło już bowiem o zwykły romans z życia „wyższych sfer” — tak zawsze interesująco egzotyczny — chodziło o pełne usatysfakcjonowanie „matuleczki”.

NA
STR.
3

Czyli jak zdobywa się popularność



WYMIANA LISTÓW
między
Drem Hipokratesem
a Belfrem — na str. 2



Naddunajskie
noce



Gena 1 zł Nr 39 (83)

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 27 września 1959 r.

WIDZEW

PO

fajerancie

Napisał:
ANDRZEJ
BRYCHT



W V KOLUMNIE DZIS
PAMIĘTNIK SZPIEGA

ROZMOWY
Z PLASTYKAMI



1. Jaka jest prawda o Widzewie? Jaka się okaże, teraz, po zasłyszanych tylu opowieściach, po przeczytanych książkach, broszurach wspomnieniowych? Po tylu

latach, kiedy ludzie inni, świat nie ten sam?..

Ach, wy nie wściecie, co to jest Widzew, co to był Widzew. Trzeba najpierw znać Łódź, to miasto piekielne, którego nikt nie usprawiedliwiła za to, że takie jest. Za cara, młodzi ludzie, wy tego nie pamiętacie, i ja też, bom jeszcze nie żył wtedy... Ale za cara, to ho, ho — powiadają starzy, a to ho, ho ma zmieścić całą historię miasta — i mało: każe ją szanować i podziwiać; barwa starczego głosu, gest pierzchający jak wspomnienie nagle zmuszają cię do tego, nienasycony słuchacz. A relacje starych ludzi? To jedno zdanie, jeden gest, pochylenie głowy, to relacje dla nich samych, nie dla ciebie.

Co ty wiesz? Był kapitalizm i go nie ma. Rewolucja dojrzewała w ogniu strajków i walk. Buntownicza myśl jątrzyła umysły robotniczy po zaułkach krętych, po norach wilgotnych i ciemnych... Tyle wiesz. Aż przyszło słońce wolności, jak w piosence.

Więc byśmy się zrozumieli, twoim muszę mówić językiem: „Widzew był kuźnią łódzkiego rewolucjonizmu, i przed wojną nazywał się Czerwony. Tak, Czerwony Widzew, a sława jego na cały szła kraj, i na zagranicę. Z wielkich kombinatów włókienniczych najstarszy: Widzewska Manufaktura — to szkoła robotniczej mądrości. Kozacy wprzód, a potem granatowa policja waliła z łuf w barykady na Wodnym Rynku...” Rozumiesz już?

I co teraz — po latach, co teraz — po filmie, któryś

sobie skonstruował na moim krótkim scenariuszu... co dziś?

2.

Tu gdzie kończy się linia tramwaju, a zaczyna szosa na Wiskitno, na Tomaszów i w świat, stoi budka kruszka z piwem, z lemoniadą, a niebo nad tą budką lekkie i żółtawe jak piana na piwie.

Stara babcia kufel przez okienko wystawia, zagaduje o dniu, że ładny, bo o czym można zagadać? Trochę dałej dymł Manufaktura, stara,

starsza od babci, a ode mnie chyba ze trzy razy...

Ulica brukowana, nie szeroka, ale i nie za wąska, w sam raz żeby się dwa tramwaje zmieściły. Po drugiej stronie domki drewniane, skrzypiące, uschłe od deszczu, wiatru i mrozu.

— Gospodarskie domki — mówi babcia. — Gospodarze je sobie postavili, i żyją.

Kiwam głową nad piwem: — Dobrze żyją?

— A no, co tu gadać jak każdy. Każdy jednakowo żyje. Tylko jak człowiek młody, to mu się zdaje, że moż-

na inaczej niż wszyscy. Potem widać, że nie ma różnicy — mówi babcia.

— Stare te domki, babcu — mówię — najstarsze w Łodzi chyba, co?

Dalszy ciąg
na str.

8



AWANS

JANUSZ WOLSKI

KOPCIUSZKA



Anna Maria Rasmussen i Steven Rockefeller

pod pretekstem nauki angielskiego wyemigrowała do Ameryki. W Nowym Yorku, w Bronx miała wujka policjanta.

Szukała pracy, a nie znając języka musiała przyjąć posadę służącej. I teraz, we wrześniu 1956 roku, zaczyna się bajka.

W biurze pośrednictwa otrzymała skierowanie — numer 810, Piąta Avenue, u państwa Rockefeller. Śmieszne, że ktoś się nazywa tak jak tytoń.

Dom był duży — trzy piętra, trzydzieści dwa pokoje, siedem osób służby. Anna Maria, jako osobista pokojówka pani, nie miała nawet zbyt wiele pracy, ale niestety, widoki na studia lingwistyczne okazały się nie szczególne. Kucharz był Francuzem, kamerdyner — Włochem, lokaje również obcokrajowcami. Jedyna Amerykanka, starsza panna służąca miała fatalny akcent z Teksasu. Sama pani domu, urodzona Clark, ze starego filadelfijskiego rodu magnatów kolejowych — a ze wszystkich miast świata Filadelfia jednemu tylko Bostonowi ustępuje w snobizmie — nie poufała się, nie rozmawiała ze służbą. Jako absolwentka Sorbony rozmawiała zresztą najchętniej po francusku.

Niewiele się poprawiła, kiedy na święta Bożego Narodzenia przyjechał do domu paniczek Steven.

Młody Rockefeller był wysoki i szczupły, jak matka nosił okulary w stalowej oprawie. Jak wszyscy studenci z Princeton — studiował tam literaturę — strzyż się krótko, na jeża. Był nieśmiały i unikał kobiet.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Annę-Marię, ominął ją szerokim łukiem. Po paru dniach zetknął się jednak ponownie w wąskim przejściu.

Steven — jak to wszystko dziennikarze wiedzą — wyjął tylko: „Hi”.

— Hi — odpowiedziała beceremonialnie Anna-Maria.

Tak się odtańcowali przez osiem miesięcy. I tylko obserwowali się bacznie.

W czerwcu cała rodzina wyjechała do wiejskiej posiadłości w stanie Maine. Anna-Maria nie miała tu prawie nic do roboty.

Pewnego wieczoru przyrzadziła kawę tak pachnącą, że Steven, ku przerażeniu młodszego rodzeństwa, wypił cztery filiżanki. To go widocznie rozochociło, odważył się zapytać:

— Co pan robi dziś wieczorem?

Anna-Maria nie miała nic w projekcie. Poszła razem na spacer. Od tego czasu całymi dniami lażęgowali w dwójce po górach. Chlebodawczyni jakoś nie oponowała.

Po wakacjach dziewczyna rzuciła służbę i została najpierw sprzedawczynią w dużym magazynie, potem kancelistką w zakładzie ubezpieczeń. Ale lekcji angielskiego nie przerwała. Spotykali się już jako Stev i Mia, w ustronnych kawiarenkach, a nawet w ekskluzywnych barach studenckich.

— Szykownego masz chłopa — mówiły koleżanki, zajądając parówki w czasie przerwy obiadowej. — I taki zakochany. Kto to jest, jak się nazywa?

— Rockefeller — odpowiedziała Anna-Maria zawsze poważna i prostoduszna.

— Ejże, a może to szachperski? — śmiały się.

Bo i kłóż by uwierzył? Wiejska dziewczyna z jakiejś tam Norwegii i Rockefeller z Rockefeller Centre, co wypranego z człowieczeństwa, sam symbol amerykańskiego wojującego kapitalizmu.

Wielki Bill, pierwszy znany w dziejach rodu, zarabiał niezgorzej i zostawił synowi małą schedę, chociaż policja stale deptała mu po piętach. Był bowiem wędrownym szarlatanem, sprzedawał spycyfiki antyrakowe. Między innymi naftę. Ale John Davidson, właściwy założyciel klanu, szybko zrozumiał, że nafta jako lek nie ma wielkiej przyszłości, że natomiast nadaje się do oświetlania mieszkań a przede wszystkim na paliwo. Kupił tanio tereny naftowe i wkrótce zrobił majątek. A potem przyszła era samochodów.

Syn zawziętego purytanina, który do końca długiego życia kazał całej rodzinie śpiewać przed obiadem psalmy, John Davidson junior był człowiekiem o szerokich horyzontach. Znany jako mecenas spędził życie na wydawaniu tatusinych pieniędzy. Ale starał się wydawać je sensownie.

W następnym pokoleniu, najstarszy z pięciu braci John Davidson III nie ma już czasu na nic innego, zajmuje się wyłącznie doglądaniem rozlicznych fundacji ojca. Za to reszta rodzeństwa stara się o przysporzenie majątku. Najmłodszy David prowadzi rodzinne interesy na Wall Street. Lau-

czyli

rence stoją na czele szeregu rozmaitych przedsięwzięć. Winthrop, jako jedyny z rodu pracuje „w nafcie”. Ten to Winthrop miał swego czasu nieszczeście popełnić megalomanię. Ożenił się z córką górnika, Litwina; w pół roku później, by otrzymać rozwód zapłacił — noblesse oblige — owej Barbarze 5 milionów dolarów odszkodowania.

Ale najruchliwszym ze wszystkich okazał się ojciec Stevena, Nelson Aldrich. Utknowawczy posiadanie swoje 250 milionów dolarów wniósł się za politykę. Pomawiany o amatorszczyznę i dyktando potrafił zaskarżyć sobie względy mas i głosami błędny wybrany został na gubernatora stanu Nowy Jork. Z tym momentem rozpoczął zabieg o wysunięcie przez republikanów jego kandydatury na prezydenta Stanów w najbliższych wyborach. Jak wiadomo najpoważniejszym jego kontr-

kandydatem w stronnictwie jest obecny wiceprezydent Nixon.

Uważany za postępowego humanistę, „niesposiakiwanym” Nelson jest fanatykiem lađu zarówno w polityce jak w życiu prywatnym. Odsławione od stołu krzesło, krzywo zawieszony obraz rozdrażniają go do wściekłości. O pedanterii tej — znamionującej w istocie swicysty konserwatywny pogląd — doskonale wiedzieli Steven i Anna-Maria.

Toteż Steven, zwierzywszy się matce z zamiaru poślubienia eks-służącej i użył skawczy w końcu jej przychylności, z lękiem przystępował do ostatecznej rozmowy z ojcem.

Tymczasem poszło niespodziewanie łatwo. Nelson musiał ostatnio — dla ratowania nadwężonego budżetu stanowego podwyższyć podatki i oczywiście stracił wiele na popularności. Gdyby teraz nie zezwolił synowi na ślub z dziewczyną z ludu i gdyby to doszło do wiadomości publicznej, jego szanse wyborcze zmalałyby do zera. Przeciwnie, okazując się wielkodusznym, dając zezwolenie, ogromnie zyskiwał.

Zaręczyny odbyły się w słynnej galerii Rockefellerów, wśród obrazów, z których najtańszy kosztował grubo więcej niż stuletnia pensja pokojówki. Ojciec był jowialny i ślił się na serdeczność. Annę-Marię parafizowało już tylko zimne spojrzenie kamerdynera. Ale nie popełniła żadnej gaffy. Oficjalne ogłoszenie zaręczyn odłożono jednak do chwili — politycznie — stosowniejszej. Po kilku dniach Anna-Maria wyjechała do rodziców, a wkrótce potem Steven udał się w ślad za nią.

W ciągu lipca objeżdżał kraj, na sierpień wrócił do Lądu, gdzie od jakiegoś czasu, po zwinięciu interesów na wyspie, zamieszkiwał państwo Rasmussen. Tam też zdybali młodą parę dziennikarzy.

Amerykańskim fotoreporterom podobała się Anna-Maria, jej naturalność, jej brak pozy, „Istna Izolda”, mówił.

— Co on w niej takiego zobaczył przez te okulary? — przygadawali dziewczęta z Kristiansand.

— Sliczna to ona może nie jest, ale dorodna. Będzie rodzice zdrowe dzieci przyświadczyły starą matronę. — To na lepszymu happy-nem, jaki kiedykolwiek udał się Norweżce — wznosił toast strwi młodej po oficjalnym ogłoszeniu zaręczyn.

Ten strwi, bijąc na pozę, ma nie zresztą koniec. Upiwszy się tego dnia z radości, spadł z motocyklem w przepaść.

Steven zapowiedział dzień nikarzom, że ślub będzie cichy i że potem osiedzą w Norwegii, w małym domku bez

służącej. Ale byłoby to niepolityczne i stało się inaczej. Na 22 sierpnia przyleciała specjalnym samolotem cała rodzina Rockefellerów wraz z kolegami pana młodego. Thumy zebrane na lotnisku w Kristiansand spotkał zresztą mały zawód. Oczekiwano milionerki według wzorów filmowych: w paryskich ciuchach i obwieszona perłami od stóp do głów. Z samolotu wysiadła wysoka mizerna kobieta w okularach, w zwykłej sukience z domu towarowego.

Nie wysiilił się również papa Rasmussen. Zgodnie z miejscowym zwyczajem w przeddzień uroczystości wydał przyjęcie w restauracji klubowej w miasteczku. Ale przeznaczył na ten cel tylko trzy i pół tysiąca koron, około 500 dolarów, zaledwie jedna dwudziesta posiadanego majątku. Obyło się więc bez szampa i francuskich win.

Wiesz obiegła świat i zgodnie z przewidywaniami szanse Nelsona Rockefellera wzrosły. Młeczarsze, modystki i inkaseni gazowni, windziarze uznali rzecz za „miluchną”.

— Jeśli Nixon chce odzyskać przewagę — napisał jeden z publicystów — musi co najmniej uwieść Kim No vak lub Marylin Monroe.

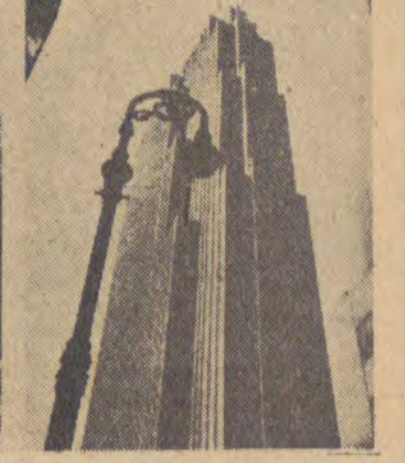
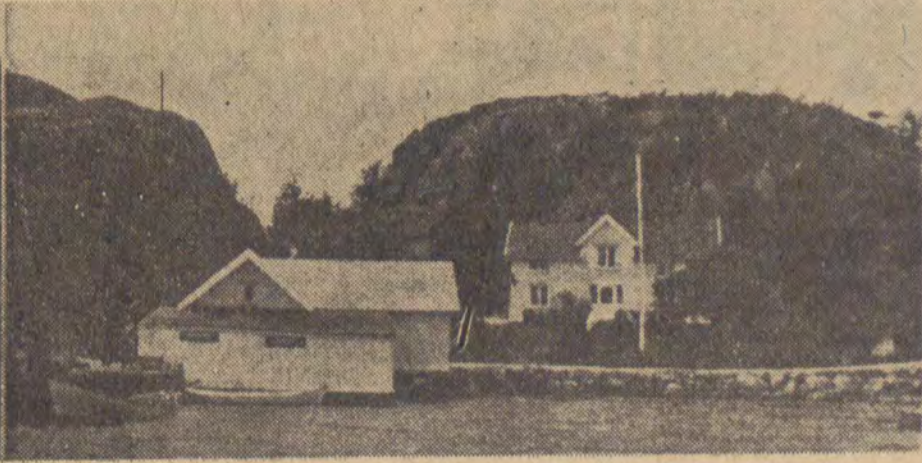
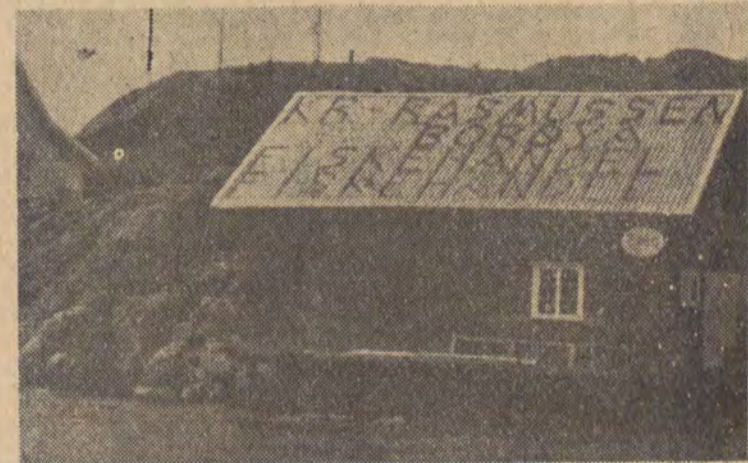
Alle Nixon wrócił z Moskwy i Warszawy w nimble „anioła pokoju”. Tymczasem Nelson dogodził się znowu kilku poważnych błędów. Odmówił między innymi wzięcia udziału w wystawie radzieckiej w Nowym Yorku.

Jak twierdzi tygodnik „Newsweek” — instytut Gallupa przyznaje obecnie Nixonowi 80 punktów a jego konkurentowi tylko 20. Czy ba jednak nie psuje to Stevenowi i Mii miłośnicy młodocych w Wyoming.

Na koniec — piękne panienki — ostrzeżenie. Tylko jeden papa-milioner kandyduje w Stanach na prezydenta. Nie macie czego szukać za oceanem.



Ojciec Stevena — Nelson Rockefeller





Pierwszy angielski żołnierz zginął dopiero w grudniu 1939 r. w akcji patrolowej. Ale niemieckie łodzie podwodne od razu, energicznie przystąpiły do blokady wysp Brytyjskich. Na serii zdjęć przedstawiamy jedną z pierwszych morskich ofiar wojny. Angielski frachtowiec o wyporności 8.000 BRT.



Godz. 7,56 — torpeda uderza w burte



Godz. 7,57 — wybucha kotłownia



Godz. 7,59 — eksplodują zbiorniki paliwa...



...i okręt pęka w części dziobowej



Godz. 8,01 — koniec...

Z archiwum łódzkiego Gestapo (II) WALKA WYWIADÓW

Ciekawe i pełne napięcia wydarzenia ostatnich dni niemieckiego panowania w Łodzi, przyniósł zwykły przypadek.

Na przystanku tramwajów dojazdowych w Zgierzu, niemiecki policjant zatrzymał dwie kobiety obciążone pakunkami. Podejrzewał, że są „szmuglerkami” z Generalnej Guberni i obiecywał sobie w ten sposób podreperować domowe zapasy.

Jakoż zdziwienie spotkało jego i kolegów w komisariacie, gdy w paczkach za miast słoniny znaleźli części radiostacji nadawczej. Zawiadomione Gestapo przybyło bezzwłocznie po zatrzymane kobiety.

Po kilku godzinach intensywnego „badania” okazało się, że obydwie są spadochroniarkami radzieckimi zrzuconymi w okolicy Zgierza z zadaniem zorganizowania na terenie Łodzi sieci szpiegowskiej i nadawania meldunków do sztabu II Armii Frontu Ukraińskiego.

Oficer Gestapo — Laue — przesłuchujący spadochroniarkę rozumiał, że musiały one otrzymać jakieś kontaktowe adresy w Łodzi. Intensywne śledztwo szło więc przede wszystkim w kierunku wykrycia tych kontaktów.

Jakoż okazało się wreszcie, że spotkanie miało nastąpić pod kościołem na Widzewie z mężczyzną posiadającym znak rozpoznawczy — złożoną gazetę rosyjską.

Nazajutrz o 9 rano Laue wraz z 4 gestapowcami odbył krótką naradę. Sprawdzono następnie kobiety.

— Jedziemy teraz do kościoła. Macie zachowywać się normalnie i dyskretnie obserwować czy nie ma tego wściegłego gościa z gazetą. Nie radzę próbować żadnych sztuczek — będziemy w pobliżu i potem możecie gorzko żałować. Jedziemy!

Zatrzymali samochód kilkaset metrów przed kościołem, wysadzili dwóch gestapowców, a następnie wysiedli kilkanaście metrów dalej z innego wozu. Kobiety wysiadły ostatnie, a Laue dopiero za kościołem, do którego zdążyło w tym czasie dużo ludzi i gestapowcy dyskretnie zacieśnili pierścienie dookoła kobiet aby się nie zmieszły z tłumem.

Mijały minuty i nie zauważono nikogo. Skończyła się msza i musieli wyjść na ulicę, aby nie budzić podejrzeń. Trzeba było wracać z pieczęcią. Jeszcze kilkakrotnie powtarzano próbę ale nikt się nie zjawił. Laue zaczął nawet podejrzewać, że kobiety wywiadły go w polu, ale wyjaśniły, że prawdopodobnie agent zrzędnął, gdyż na skutek wypadku przy lądowaniu nie zjawiły się w terminie.

Tymczasem z Berlina przysłał specjalistę od szyfrów radzieckich. Spadochroniarkę poddano ostremu badaniu ujawniły sekret szyfrowy, toteż natychmiast przystąpiono do nawiązania łączności z sztabem II Armii.

Pierwszy nadany meldunek brzmiał: „Zwiłoka w rozpoczęciu pracy spowodowana wypadkiem. Mamy obecnie pewny punkt. Dajcie instrukcje”. Odpowiedź brzmiała: „Podajcie adres punktu. Nawiążcie kontakt. Ustalmy godziny nadawania — 10.00. Nieparzyste dni, tygodnia”.

Laue po naradzie ze swym szefem, radcą kryminalnym Tesmarem kazął podać adres jednego z konfidentów Gestapo przy ul. 11 Listopada (obecnie Obr. Stalingradu).

Postanowili, że w oznaczone dni jedna ze spadochroniarek zostanie odprowadza

na drogą okrężną, pod obserwacją do rzekomego punktu nadawania, gdzie będzie oczekiwał agent. Kobieta pozostanie w mieszkaniu przez czas gdy w gmachu Gestapo będą nadawane meldunki, preparowane osobiście przez szefa łódzkiego Gestapo SS Sturmbahnführera Kuke.

Spadochroniarki mieszkały w jednym z pokojów gmachu Gestapo strzeżone niezwykle czujnie. Wychodziły do miasta na spacer, do kawiarni i kina. Zawsze posuwały się za nimi jak cień agent, coraz to inny. Wszyście te kroki podjęto na wypadek, gdyby wywiad radziecki zechciał sprawdzić, lub skontaktować się ze swymi agentkami. Po każdym wypadku na miasto wprowadzano je do jednego z domów łódzkich, który miał zapasowe wyjście i następnie odwożono do Gestapo. Kuke i Tesmar uważali sprawę spadochroniarek za jeden ze swoich największych sukcesów. Stała dezinformacja wywiadu radzieckiego, który otrzymywał zmyślone meldunki z wielkiego centrum przemysłowego, była przecież wycy-nem nie lada.

Z dokumentów wynika jaka waga przywiązywano do tej akcji, ile wysiłków zabierała.

W środę o 11, gdy jedna ze spadochroniarek wyszła po skończonej audycji, jej ruchy obserwował bacznie nie tylko agent Gestapo, lecz także człowiek w mundurze podoficera Wehrmachtu i starszy pan z parasolem,

formacja wywiadu radzieckiego, który otrzymywał zmyślone meldunki z wielkiego centrum przemysłowego, była przecież wycy-nem nie lada.

W środę o 11, gdy jedna ze spadochroniarek wyszła po skończonej audycji, jej ruchy obserwował bacznie nie tylko agent Gestapo, lecz także człowiek w mundurze podoficera Wehrmachtu i starszy pan z parasolem,

formacja wywiadu radzieckiego, który otrzymywał zmyślone meldunki z wielkiego centrum przemysłowego, była przecież wycy-nem nie lada.

Oto po nadaniu adresu punktu rzekomego ukrycia radiostacji, w jednym z łódzkich mieszkań dwóch mężczyzn odbierało w głosnym skupieniu zaszyfrowaną wiadomość: „Sprawdźcie mieszkanie przy ul. 11 Listopada nr... Znajduje się tam radiostacja L 53. Po dokładnym rozpoznaniu wejść w kontakt”.

W środę o 11, gdy jedna ze spadochroniarek wyszła po skończonej audycji, jej ruchy obserwował bacznie nie tylko agent Gestapo, lecz także człowiek w mundurze podoficera Wehrmachtu i starszy pan z parasolem,



JERZY DAGOBERT

PAMIĘTNIK SZPIEGA (IV)

Wspominałem już o instrukcji Centrali odszukania pary agentów, z którymi utraciła kontakt. Otrzymałem wówczas tylko ich prawdziwe nazwiska, oraz wskazówki, że przebywali oni czas jakiś w francuskiej Szwajcarii.

Jak już mówiłem udało mi się ich „ustalić” za pomocą książki telefonicznej w willi blisko Lozanny. Oboje oni pracowali od dłuższego czasu w brytyjskim wywiadzie. „Lorenz” nie był nigdy głównym rezydentem, tylko agentem, lub podrezydentem. Oboje byli świetnymi fachowcami we wszystkich gałęziach fotografii od zwykłego portretu do kopii dokumentów i mikrofilmów i mieli doskonale wyposażone studio.

W Japonii, gdzie pracowali czas jakiś, zadanie ich polegało wyłącznie na fotografowaniu zawartości koszy do śmieci z gabinetu pewnego generała, członka japońskiego Sztabu Generalnego. Materiały te przynosił im stałe służący generała, informator brytyjskiej sieci.

Ponieważ żadne z nich nie znało języka japońskiego, nie mogli więc sami ocenić wartości materiału, musieli fotografować dosłownie całą zawartość kosza, co stanowiło ogromną i bardzo niewydajną pracę. (Zawartość koszy do śmieci w podobnych instytucjach bywa zazwyczaj przez samych pracowników spalana).

Opowiadali mi, że po 3 latach pracy dowiedzieli się z Centrali, że jeden sfo-tografowany przez nich dokument wart był jednak wszelkich wysiłków i kosztów całego okresu.

Bezpośrednio przed wojną pracowali w Niemczech, ale po jej wybuchu Centrala utraciła z nimi kontakt.

Z początkiem 1941 r. zdecydowali, lub ktoś za nich, że nastąpił odpowiedni czas na odnowienie kontaktu i

w tym celu, nie podając swego adresu napisali na starym kontakcie, do agenta w Ameryce Płd., dając do zrozumienia, że chcieliby odnowić łączność z Centralą, o czym ten dał znać po jakimś czasie.

Latem 1941 r. udało mi się więc do ich willi, położonej pięknie poza Lozanną i jak już wspominałem udało mi się rozwiązać ich podejrzenie dopiero, gdy przytoczyłem pewne szczegóły z ich przeszłości, które mogłem znać tylko od Centrali.

Po przelamaniu pierwszych lodów zdawało się więc, że zaczniemy się odnosić do siebie z zaufaniem i życzliwością.

Pomimo, że „Lorenz” i „Laura” nie byli przez parę lat w kontakcie z Centralą, robili wrażenie świetnie wy-tuowanych. Willa ich była urządzona wprawdzie bez smaku, ale i bez śladu liczenia się z wydatkami. Oboje byli zawsze doskonale ubrani, najlepiej ubrani spośród agentów, jakich kiedykolwiek spotkałem. Utrzymywali, że są Szwajcarami. Znalaj świetnie niemiecki i angielski, „Lorenz”, sądząc po akcencie, musiał się francuskiego nauczyć w południowej Francji, rozumiał również włoski.

Wbrew temu, co „Lorenz” utrzymywał, jakoby informatorzy jego znajdowali się w Niemczech, większość wiadomości wojskowych dotyczyła raczej ruchów armii niemieckiej we Francji. — podobnie rzecz się miała z wiadomościami natury politycznej.

Zaczęłem odwiedzać „Lorenza” i „Laure” 2 razy w tygodniu dla odebrania od nich informacji. Informacje te zawierały wiele słów, ale treści w nich było niewiele. Proponowane przez „Lorenza” nowe źródła zostały przez Centralę odrzucone z komentarzem, że należy o-

Gdy kobieta po długim kółowaniu ulicami wsiadła do dyskretnie podstawionego samochodu podoficer i starszy pan rozeszli się w dwie różne strony, ale... po kilku godzinach spotkali znowu.

Do sztabu II Armii popłynęła na falach eteru inny meldunek: „Radiostacja L53 spalona — przychwycona przez Gestapo. Kontakt wykluczony”. Od tej chwili oficer otrzymujący meldunki z radiostacji L53 uśmiechał się tylko, czytając e-laboraty wypracowywane w najgłębszej tajemnicy przez Sturmbahnführera Kuke. Aby utrzymać Niemców w przekonaniu, że „kawał” się udał nie zrywano kontaktu — wręcz przeciwnie — nadsyłano dalej różne instrukcje, polecenia itp. Nie można przecież psuć komuś przyjemności. W tej słodkiej nieświadomości ci Niemcy pozostali do stycznia 1945 r. gdy trzeba było w popłochu uciekać.

Tak zakończył się jeden z pojedynków dwóch wywiadów. Cała, z dużym wysiłkiem zbudowana przez Gestapo fikcja, okazała się fikcją naprawdę, tylko, że oni o tym nie wiedzieli.

Jedna rzecz pozostała niewyjaśniona — los obydwu kobiet po wywiezieniu z Łodzi w czasie ucieczki jest nieznan.

(J. W.)

Dalszy ciąg
za TYDZIEŃ

PO FAJERANCIE



Dalszy ciąg ze str. 1

Przyszedł mały, żyłasty człowieczek. Piwo otworzył, powąchał, Ulal trochę. Czeka, aż się piana ustoi.

— Nie te najstarsze — powiada. — Starsze są.

— Gdzie? — pytam.

— Na Kunicera osiedlu...

Posprzeczała się babcia z człowieczkiem o Kunicera.

— Co pan mówi, że Kunicer na Pabianickiej miał. On tu miał, nie na Pabianickiej...

— Tu miał też. Ale na Pabianickiej też mógł mieć. On mógł wszystko mieć. Kiedyś to cały Widzew był jego...

Upił trochę piwa, pomlaśkał, obtarł usta rękawem.

— Kunicer, ho, ho, Kunicer... — powtarzał do siebie, jakby smakował to słowo, jakby w tym słowie znajdował cały smak swojej młodości, którą mu Kunicer zabrał.

3.

Niemlec był ten Kunicer i fabrykant z najpierwszych. Lat temu wiek bez mała, dokładniej — osiemdziesiąt, stanęła Widzewska Manufaktura, w tym miejscu stoi do dziś.

I Kunicer osiedle domków drewnianych dla swoich robotników skombinował. Bo właściwie nikt nie wie, czy sam Kunicer je postawił, czy odkupił od gospodarzy — nikt tego nie pamięta, bo co to może dzisiaj kogo obchodzić?

Trwa to „drzewiane” osiedle na przekór zwykłym i

dziejowym burzom, ogrodzone w czworobok Tunelową, Szpitalną, Armii Czerwonej i torem, którym leżą elektryczne warszawskie.

Nie jest to mały czworobok, domków się gnieździ w nim trzysta osiemdziesiąt cztery, a przy każdym zagon ziemi suchej na pietruszkę, soneczniki i mak. Te zagonki pogrodzone ze sobą tyczkami — odrębne to własności każdego z lokatorów, miniatura wieśniactwa żalosa, ale dająca wytchnienie pod zakurzoną słońcem starej Łodzi. Starzy działki używają i pieczą, bo sami ze wsi przybyli i pamiętają ziemię jakby zeszli z niej wczoraj.

Młodych to nie nie obchodzi, ale kiedy zsiwieją, to i oni chyba tak samo... Tyle, że już wtedy Kunicera nie będzie...

Relacjonować więc trzeba, bo czas umyka i drzewo schnie...

Na dole cztery izby, i na górze, pod dachem skośnym. Przypała słońce papę i sufit gorący jak piec. A w każdej izbie to pięć, to więcej osób. Pogrodzone te izby zastawami, szafami, kapami sztywnymi na kąty własne dla każdego. Tylko kuchnia wspólna, i ołtarzyk między oknami, wsparty o tapecę pękającą i tradycję trwa.

4.

Ja wiem, że nie w tym sens, bo do sensu trzeba się dobić powoli — ale kiedy szedłem przez osiedle na skos, to patrzyłem po dachach. Tam szukałem anten telewizyjnych, i kiedy nie znalazłem, to nie spłónął sens, którego szukam. Zresz-

ta, jeśli chcesz: podjeżdża chłopak na rowerze, i krzyczy:

— Pani Marciochowa ma!

A więc pani Marciochowa, wdowa po niższym urzędniku, ma telewizor. Z anteną pokojową, na przekór domysłom reportera.

Nęć mnie, żeby policzyć osiedlowe motory i radia. Wyluskaloby się z komórek ciemnych z sześć wufemek, rzuciło w nos niedowiarkom jedno słówko:

— Patrzcie!

Kabel do kolchoźnika po całym osiedlu idzie. Tyle że „kolchoźniki” tu nie w modzie. Radia teraz tanie, to każdy w mieszkaniu ma. Nie to, co kiedyś.

— Nie to, co kiedyś — mówi mężczyźni, którzy pamiętają owe „kiedyś”.

— Przed wojną była na Szpitalnej „bratnia strzecha”, tam księża wystawiali różne jasełki, golgoty... Raz człowiek popatrzał, a potem już nie mógł. W soboty, w niedziele wieczorami harmoniszki w ogródkach brzęczały, gorzalka pod księżyc przyskała... Nieraz to się i kluli, takimi śpikami — pokazują do lokci — jak krwaj nie było, to nie było zabawy...

— A teraz?

— Teraz jest lepiej. Kino „Pokój”, pięknie zrobione kino — emoka pan Pawlak — stylowo, na dwieście miejsc. Zawsze w nim pełno. Filmy idą co parę dni inne, te same co w śródmieściu. Tylko dzieciarnia narzeka, bo dla nich tylko poranki w niedziele, a tak to wszystko od osiemnastu lat.

Przy osiedlu stoi hala Wimy. Zielona farba kruszy

Tekst:
ANDRZEJ
BRYCHT

Zdjęcia:
ZBIGNIEW
JARZYŃSKI

się, odpada. Tu Chmielewski boksował, Koleczyński... Ona nas wszystkich przeżyje. Ale tuż za halą czerwony mur, pod drugie piętro podciągnięty. Budują dom sportowy: będą sale treningowe, hotel dla zawodników, kawiarnia.

Wąska, ocieniona drzewkami uliczka ciągnie do toru, do przystanku Niciarniana. „Ona się kiedyś Kunicera nazywała” — przypominam sobie słowa babci od piwa.

— No, więc kto osiedle zbudował?

— Nie wiem, ja tu dopiero od dwudziestu lat. Może sąsiadka wie — mówi kobieta i krzyczy w głąb korytarza:

— Pani Niedzielska! Pani Niedzielska!

Wychodzi druga kobieta.

— Chyba nikt nie wie. Tu nikogo to nie obchodzi. Są domki, i tyle. A czy je fabrykant postawił, czy nie, to nie ważne. Tu każdego obchodzi, co sam zrobi. Ale co ja mogę powiedzieć, blokowy najlepiej wie.

Przechodzę korytarzem do drugiego wyjścia. Za domem dróżka wiedzie do ogródków.

— O, właśnie idzie pan Juśkiewicz...

Przedstawiamy się, stajemy przy studziencie, żeby pogadać.

— Byłem kiedyś blokowym, teraz już nie jestem — mówi pan Juśkiewicz, jakby trochę zawstydzony tym, że już nie jest blokowym.

— To nie, przecież pan wie wszystko o osiedlu, to wystarczy...

— Wszystkiego to nie wiem, nikt nie wie wszystkiego — rzecze sentencjonalnie. — Ale, jakby nie było, mieszkam tu już trzydzieści lat...

5.

No i co z tych ciekawych rzeczy, których żeś chciał się dowiedzieć? Cztery lata temu remontowali, ale po kilkunastu domkach miarknęli się, że za drogo wyniesie... Ze lepiej się opłaci nowe, murywane osiedle z łazienkami wystawić, niż ładować pieniądze w stare, pofabrykanckie próchno.

Pan Juśkiewicz wie, że tak jest właśnie. Ale narzeka:

— Piece trza poprawić, okna... W ustępie drzwi urwane, więcej człowiekowi od spodu... Po prawdzie, to ludzie same sobie winne — po co drzwiami trzaskali?

Tak, „Ludzie same sobie winne”. Bo oto dalej mówi pan Juśkiewicz:

— Pan napisze, żeby remontowali, bo się domki rozwała, nie tyle ze starości, co ze złości...

— Ze złości?!

— A no tak. Jest taki Buda, on miał dostać w blokach nowe mieszkanie. Coś się przewlekał i Buda z nerw wyszedł, wziął siekierę i zaczął dom podcinać. Zobacz pan, jak przyciesie zrabane...

Faktycznie. Ej, Buda, Buda... Jakbyśmy się tak mieli wszyscy złościć...

— Tu były domki — pokazuje pan Wiśniewski spory plac — wyburzyli, rodziny przeszły do bloków. Po tamtej stronie ulicy też wyburzyli, też rodziny poszły do bloków. Ma w tym miejscu stanąć szkoła tysiąclecia. Fundamenty już są...

— I kamień węgielny położyli, tylko już dwa miesiące idą, a roboty nie wiidać — sączy jad pani Niedzielska.

— Co pani chce — odpowiada jej pan Juśkiewicz, ale patrzy na mnie — do takiej roboty to trzeba oddechu nabrać, no nie?

Cóż, wypada. Śmiejemy się wszyscy.

— Ale dzieci do szkoły chodzą — dodaje szybko pan

Juśkiewicz, jakby chcąc uprzedzić czyjeś słowo, a może i myśl.

— Tak, szkoła, nie można powiedzieć, nowa jest, i okazała. Na Szpitalnej, proszę pana. Tak, można sprawdzić.

Przykłada rękę do piersi i patrzy na mnie wzrokiem podejrzliwym i proszącym, a jednocześnie w jego wzroku pewność jest, że jak sprawdzę, to wyjdzie na jego, a nie na moje, bo szkoła stoi, a z faktami nie ma co walczyć.

Ale czy ja chcę walczyć z faktami? W ogóle traktuję mnie jak wywiadowcę obcego mocarstwa, co to by chciało dyskredytować w ramach zimnej wojny. Każą mi sprawdzać, uprzedzają pytania, a to wszystko w podstępny, nie natrętny sposób. Nie, nie, tyś się dotąd tego nie doczytał w mojej relacji, ty nie widzisz ich twarzy poważnych, a kpiących oczu, uśmiezków uprzejmych, tej całej atmosfery, która krzyczy, że tu nie o to chodzi...

6.

Ale ja od początku wiem, że tu idzie nie o to. Wszak pretekstem są moje pytania o przyrzady blaha a drogic: telewizja, motocykl... Nie w tym rzecz, i wiedzą o tym oni, co tu stoją przede mną gotowi pytania uprzedzać, pytania tego świata, o który się bili do ostatnich rębów, tego pokolenia co przyszło do gotowego, a i tak więcej ma.

Bo pytania trzeba uprzedzać, podejrzeniem trzeba za pobiec, niech nikt nie myśli, że Widzew kiepsko zwołował. Znasz to głupie rzekadło: „co złego, to nie my”? Tu ono mądre jest i na miejscu. Bo w całej rzeczy nie Widzew jest zły.

Patrz na mnie. O co jeszcze zapytam. Czego jeszcze żeby zapchać ciekawość trzydziestoletnich rówieśników Ludowej.

— O tośmy całe życie walczyli — powiada stary, siwy, a czarne rece mu się trzęsą, bo z roboty przed chwilą wrócił.

— Kiedyś to nie nie by... no nie, Manufaktura stała jak dziś ale ja, jako ja sam, to nie nie miałem. Rozumiałem dużo, poszedłem do partii. Różnie się robiło, nie można powiedzieć.



Naddunajskie noce

JERZY
PILICHOWSKI

Wszystkie układały się zupełnie nie w myśl zawczasu przygotowanych planów, lecz całkiem niespodziewanie, tak jak ta pierwsza, w Budapeszcie.

— Pójdziemy do „Matiasza” czy na wyspę?
— Heute nach Sziget — odpowiedziała Edit w niemiecko-węgierskim „języku”. W taki sposób zmówić się można prawie z każdym Węgrem. Austro-Węgry — przypomina się historia zakarpackich przyjaciół.

Nietypowa Węgierka — pomyślałem o Edit jeszcze przed godziną, a jednak mówi trochę po niemiecku... Czego właściwie chciałem od tej nieznanej dziewczyny, o bocianich nogach i greckim nosie, czytającej wiersze Hejnego w kręgu ulicznej lampy? Po kiego licha przywędrowałem tu o zmierzchu samotnie na Szent Gellert — czyli na „Dach Budapesztu”? Na dole pachniało przecież wino, od dźwięków muzyki nadrzecznych restauracji

by tylko od mostu do Opery Letniej, której siedzibę sygnalizuje strzelająca znad zieleni wieżyczka. Zmęczy się setnie. Mylą się także ci, którzy sądzą, że „Małgorzata” jest dość duża. Niech spróbują wieczorem znaleźć choć jedną wolną ławkę. Nie ma! Okupują je dziewczęta i chłopcy, zwróceniu do siebie profilami (siadają po obu stronach ławki, chłopiec od strony trawnika) pieszczą się w biały dzień, nie mówiąc już o zmierzchu czy wieczorze.

Edit przechodzi obok „parku” obojętnie, tak samo czynią inni budapeszteńscy, nawet dzieci nie dziwią się i nie przyglądają, tak jak u nas nie ma zwyczaju przyglądania się gruchającym gołębiami.

Od dziesiątków lat budapeszteńscy słyszą z ambon, że „Małgorzata” jest rozpustna, ale poszukajcie wśród nich takich, którzy tam nie chodzili lub nie chodzą!

wiaka. Sąsiedzi pobocznych stolików podnoszą z zainteresowaniem głowy.

— „Lendziel!” — skrzypek wskazuje na nasz stolik. Najbliżsi goście podstawią pełne szklanki, mówią po niemiecku, po rosyjsku. Cóż, przyjaźń nasza od wina nawet starsza, dlaczego nie wypić? Ludwik Węgierski, Jád-wiga jego córka kołata się po zmęczonej głowie historia. Nawet dyskretne światło zdaje się mrugać, może jakaś nowa atrakcja regionalnej „Matiasza pince”? Nie, to mój leń po prostu zaczyna już nawalać. No, czas już zmykać. Rozglądam się wokół, niektóre stoliki już opuściły. Krótko ostrzyżona młodzież artystyczna owi „Cherubini”, „Matiasza” opuścił lokal najwcześniej.

— Chodź, pokażę ci ich — mówi Edit.

Od „Matiasza” wszyscy idą nad Dunaj, ale przystań jest za

Z węgierskiego brulionu

drżał Dunaj. W eleganckim City Pesztu, w „Astori” i „Dunie”, huczały już o tej porze „samby” i dziewczęta rzuciły cudzoziemcom tęskne spojrzenia.

Patrzyliśmy na drugie niebo światła blisko dwumilionowego miasta. Od pierwszego nieba oddziela je Dunaj. Ogromne łuki mostów, oświetlone jarzeniówkami, przecinają stalowego węża. Gdy podnieść wzrok „wąż” obrysowany łagodnymi liniami wybrzeży i zatoczek: zgina się od Petöfi-hid w prawo, wypinając opasy grzbiet na Szent Gellert. Gigantyczne rozwiązanie irygacyjne biegu rzeki urzeka monumentalizmem i spokojem. Cóż, Italia blisko, a poza tym wpływy kilku krajów, których bandery oglądać można na masztach co dzień przepływających rzeką statków.

A więc idziemy na Wyspę Małgorzaty. Ująłem Edit mocno i blisko pod ramię, tak jak to czynią mężczyźni jej kraju, jednakowo czule w kawiarni, na ulicy, czy w Vámparku. Schodziliśmy powoli ostrą serpentyną schodów na wybrzeże. W klubach szerniałej zmierzchem zieleni powoli tonęła panorama Pesztu.

Idylliczna cisza Góry Gellert, z owcami pasącymi się u stóp Cytadeli, ustąpiła zgletkowi, który w Budapeszcie panuje nie tylko w City. Gromady autobusów, tramwaje, hamujące powietrzem, pędzące po ludnych ulicach z szybkością 50 km na godzinę. Na wszystkich niemal skrzyżowaniach, niby skała na morzu stoi ubrały biały milicjant. Rozwieszono wysoko w poprzek ulic, barwne płótna informują, gdzie najtaniej można nabyć towary z przeceny. Na takich samych płótnach falują na wietrze ogromne fotosy nowych filmów, bądź tygodniowe repertuary teatrów i oper.

Margit — hid jest właściwie mostem wysp. Po nim idzie się lub jedzie na „Małgorzate”, zarówno ze starej i zabytkowej Budy jak i nowoczesnego Pesztu.

Wyspa? Nie. „Małgorzata” to raczej przepiękny park na wyspie. Myli się jednak ten, kto stąd wnioskuje, że Margit jest mała. Niech spróbuje przejść ją, choć-

teraz „Matiasza pince” — proponuję koło północy.

— Gut.
Znow wstęga Dunaju, flisacki śpiew, światła Pesztu. Ale ludzi jakby kto wymiół! Przez trzy godziny jedno z największych w tej części Europy miast położyło się spać.

Jeszcze kilka kroków w labiryntie małych nadrzecznych uliczek i stajemy na maleńkim placu zwanym Marcius Ter. Tu mieści się słynna „Matiasza pince” — regionalna restauracja.

Nie ma wolnych stolików, ale dla cudzoziemca — wiadomo — tak jak i u nas, musi się coś znaleźć. Umieszczają nas w dyskretnym wgłębieniu ściany, obok orkiestry. Dym z papierosów i zapach wina nie dokuca tu bardzo, bo wylapuje go bezszelestny wentylator, za to pieśń rzewna skrzypiec cygańskich wprost dusze rozrywa.

Gdy tak Cyganie grają! „Josoż z rusztu” podlewany na talerz sosem burgundzkim i rumem „Portorico” z kielszka, zdaje się łatwiej wpływać do żołądka. Ech, można by tu siedzieć jeść i słuchać byle było za co...

Edit chce tańczyć, szepce coś kelnerowi. Raptem zapalają się wielkie światła. Intymność pryska, kelnerzy zaczynają biegać a orkiestra grać foxtrotta.

Za godzinę znow gasną światła. Na stół wędruje specjał narodowy Węgrów „halaszle” — czyli zupa z ryby podprawiana kilkunastoma odmianami papryki. Cygan zaczyna śpiewać, podchodzi także do naszego stolika. Śpiew i tęskna melodia skrzy piec zwyciężają jaz. A może to sprawa białego wina? Edit nie chce tańczyć, słucha. Była już u „Matiasza” parę razy ze swoimi kolegami z Uniwersytetu, ale gotowa przysiąc, że Cyganie nigdy nie grali tak pięknie jak dziś.

Nowe 10 forintów opuszcza moja niepokojąco skromną zawartość portfela i wpa da do czapki Cygana.

— Nie mam więcej — mówię po polsku i powtarzam to gestem rozłożonych dłoni. Cygan uśmiecha się — „Lendziel!” — Tak, Polak. Skrzypek szepce coś swoim kolegom, raptem orkiestra zaczyna najprawdziwszego krako-

wysoka, by usiąść na betonie i opuścić nogi w nurt młodo to chłodek działa orzeźwiająco. Dunaj daje wino i Dunaj odbiera — mowi stare węgierskie powiedzenie, ale gdzie są owi młodzieńcy?

— Nie widzisz ich? Popatrz, tam jeden, tu drugi, Rzeczywiście, ale o dziwo, „Cherubini”, trzymający się w lokalu gromadnie rozsypali się pojedynczo nad brzegiem. Niektórzy zajęli atrakcyjne miejsca, na skraju betonu, opuszczając nogi nad rzekę. Ich dziewczęta przysiadły tymczasem na kamiennych schodach i żywo o czymś rozprawiają.

Z malej knajpki obok wyrzucają jakiegoś pijanego gościa. Jest mały, kudłaty. Za nim leci kapelusz i torba z pędzlami. Ale te od razu świadczą, że ich właściciel nie jest węgierskim Lutrekiem — maluje po prostu ściany. Pijaczyna tarza się po chodniku i wymyśla keimerom. Jakis młodzieniec w nienagannej tropie — hemd przynosi mu w kapeluszu wodę, zaczerpniętą wprost z rzeki, która ten łapczywie żłapie, jakby to była „Pałomka” — czyli węgierska wódka z owoców.

Zostaliśmy prawobrzeżne towarzystwo, przechodząc na drugą stronę do zabytkowej Budy. Tu z Baszt Rybackich, bielutkich niby żagłówek, na Dunaju, widać jak wstaje świt. Jest z powrotem cicho, jak wczoraj, gdy zapadał zmrok. Nawet komary pochowały się w „mysie dzurzy” i nie atakują, bo w Dunaju rozpoczęły śniadanie miliony maleńkich rybek, które potrafią dość wysoko wyskakiwać z wody. Liczne, wolne ławki Baszt gościnnie zapraszają. Gdzieś z dali niesie się flisacki poranny śpiew, syczy zapach swojskiego dymu z ich drewnianych bud na rzece.

Idylla nastraja do drzemki. Nagle budzi mnie ktoś delikatnym dotknięciem ręki. Słońce wyszło już dość wysoko. Przed nami stoi autentyczny milicjant w bielutkim mundurze, uśmiecha się, coś mówi i odchodzi.

— Czego on chciał? — pytam Edit.

— Przypomniał nam, że już 5 rano i czas byłoby iść do pracy.

I jak tu nie uśmiechać się do naddunajskiej krainy w nogron, muzyki i słońca?



Naddunajska ty moja nocy, chodź pod rękę...



W cichych uliczkach, obok Cytadeli, świecą także gazowe latarnie

ANDRZEJ FABIAN
**PAN PROFESOR
i INNI**

Pan Profesor, niedługo film dokumentalny reżyserii Ludwika Peńskiego, przedstawia nam tego talentu estradowego wielkością znaną. Pomyśl filmu wydał się interesującą opowiadanie locyzy się w Warszawskiej Szkole Teatralnej gdzie Pan profesor wprowadza młodzież w tajniki scenicznego kunsztu, wykonyując przy okazji to i owo ze swego bogatego repertuaru. Mammy więc Sempolińskiego jako Mazurkiewicza (w kawaliku „Zolnierza królowej Madagaskaru”) i teraz dopiło filmach pusy nas blizze i trwozal Pomyśleć tylko, że mając tak doskonałego Mazurkiewicza autor filmu reżyserii Ludwika Peńskiego, przedstawia nam nowego wersję „Zolnierza” trudził w tej roli Tadeusza Fijeńskiego, ani jemu laurów nie przypysparzając, ani sobie. Zostałby jednak spójnione załę.

„Pan Profesor” przynosi nam także w wykonaniu Ludwika Sempolińskiego zapomnianą piosenkę Mariana Hemara („Ten wąsik, ach ten wąsik, ten wąsik, ten wąsik, ten wąsik”), napisana do melodii niemieckiej chłapińskiej „Titiy”. Piosenka ta, wykonana na scenie kabaretu jako ośmieszająca Hitlera — narobiła tuż przed wojną niem mało dyplomatycznego zamieszania. Jest także w „Panu Profesorze” doskonała rzecz Tuwima o ostatnich posłankach, i kto wie, czy tu właśnie, przy sentymentalnie i lezce nie najlepiej objawił się zakres możliwości Sempolińskiego?

Ale poza p. Ludwikiem jest jeszcze w filmie Peńskiego p. Kazimierz. Także profesor i oczywiście Rudzki. Ow prezentuje Sempolińskiego i prowadzi z widownią rozmowę, patrzeć ściece demonicznie wprost w kamerę na sposób zapożyczony z telewizji.



Rudzki dodaje filmowi i swój, i dryg i piasek, ale czyni to z niejednakowym powodzeniem, jakby mu z naglą nie dopisało cenne poczucie humoru. Młodzież aktorska staję się u Panu profesorom z wdziękiem, szczególnie przedstawicielki płci, która się bardziej w świecie hollywoodzkiego, niż w filmik pomysłowy, przeszarzający granice żartu — bo spełniają rolę popularną — i dokumentacyjną. Ten i ów artysta starszej generacji zastępuje jeszcze w naszym kraju na podobną biograficzną wizytówkę. „Pan Profesor” prosi o zachowanie gatunku. Widownia także.



Rudzki dodaje filmowi i swój, i dryg i piasek, ale czyni to z niejednakowym powodzeniem, jakby mu z naglą nie dopisało cenne poczucie humoru. Młodzież aktorska staję się u Panu profesorom z wdziękiem, szczególnie przedstawicielki płci, która się bardziej w świecie hollywoodzkiego, niż w filmik pomysłowy, przeszarzający granice żartu — bo spełniają rolę popularną — i dokumentacyjną. Ten i ów artysta starszej generacji zastępuje jeszcze w naszym kraju na podobną biograficzną wizytówkę. „Pan Profesor” prosi o zachowanie gatunku. Widownia także.

o do kroków we mgle — to istotnie — gdzieś w połowie filmu nawet je słycać. Ale i tych kroków i morderstw i zagadek kryminalnych i podejrzeń, tudzież miłości wreszcie — słowni wszystkiego co się tresująca zwie, jest tu za mało na jeden dobry film, ale w sam raz na kieszonkowy, a przeciwnie. Ten towar, w poprawniejszym artyście opakowaniu, poznaliśmy już dawno i serdecznie przesyłanej „komunistycznej repertuarowej” dzękiemu. Do kroków we mgle ma ona prawo także.

Widownia także.

odpisy
Miska
FILMOWA
EDWARD ETLER



WIDZIAŁEM „LUNATYKÓW”

zrecz siały ki i epistowości, jak i re-gnacji z renowowanymi nazwisk. Poza tym dwójką odstepstwem od normy jest jeszcze w filmie niechc do epatowania „egzotyka” studowska i senerii. W „Lunatykach” pienie alkoholizmu nie mały do czynności piewszoplanowych. A bractwo tanzecz w warszawskiej „Stodole” pokazuje się jedynie na krótko i to zaledwie w charakterze ta dla bardzo ładnie rozegranej zresztą sceny. Dodajmy do tego, że tak zwane „prawdy” — które wynikają z filmu Poręby, też w zasadzie niczego rewelacyjnego nie objawiają. „Lunatyk” to ani klucz, ani wytrych do spraw szumnie ozwanym problemem pokolenia. To zaledwie próba naszkicowania kilku charakterów. Reżyser — po myśli sennarsza (napisane go drzezeń wespol z Ryszardem Berem i Ryszardem Manurzewskim) — naszkicował owych charakterów parę. Na dobrą sprawę wyszedł mi tylko jeden, ale jego do-większość została jest powetować iż ów uduany charakter przynależny do postaci drugoplanowej, zdaje się za sprawą świetnej kreacji młodego aktora Paka. Natomiast „ohaler, szły na miare, pozytyw-wnego”, jest wystawczająco nie-sympatyczny, by można było mówić o jeszcze jednej ciekawej koncepcji filmu! Trudno orzec, czy jest to koncepcja zamierzona, ale spór o to nie jest przecież najbardziej istotny.



KROKI WE MGLE
(Recenzja raczej niedługa)
Ten film przynosi również mało mgły, o emocji. Mgłę sporządzono przy pomocy swiec dynowych, emocji, mimo wyrażonych zabiegów, nie przyrzadzono woale. Mają za to „Kroki we mgle” Bellinde Lee, która ogląda się z uczuciem satysfakcji, jak kogok, o którym się dużo słyszało, a kogosę wdział po raz pierwszy. Bellinda wysłępuje obok Jeanus Simmons, która pamiętamy z roli Ofeii w pamiejącym „Hamlecie” Oliviera. Ofeia jest tutaj służącą, głupek zakochana w swym pracodawcy, Pracodawca jest co najmniej krwiożerczy, wysyła małżonkę na drugi świat i zaraz zaplękuje się w podwójny romans, dość nieoczekiwanie zakonńczony.

Widownia także.

I świadeczenie, zawarło w tytule niniejszych uwag zawiastuje rzecz niezwykle zająca. Ohefzamo film — którego jeszcze nie mam... Film dopiero co nakręcony i znajdujący się obecnie w stadium udźwiękowiania i montażu. O filmie wiadomo — nikt jeszcze — w historii prasy polskiej — nie re- cenzoował filmu znajdującemu się w połowie roboty! Bedzie to więc debiut i odstępsstwo od przyjętego zwyczajaju.

Debiutuje także Bohdan Poręba, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, reżyser omanawano filmu Debiutuje: przy- namniej w pełnym metrażu, ma bowiem w swoim dorobku twor- czym trzy filmy o charakterze do- kumentalnym (I dla nas świeci słoneczko — film o dziejach niewi- domych, „Wyspę Wielkiej Nadziei” — film o dzieciach chorych na gru- zlicę, no i popularny „Apel pole- głych”, zrealizowany według scenariusza Andrzeja Wajdy).

Mimo tak wyraźnej „przeszłości” re- żygnacji z dynamicznymi ujęć na

reżysera „Lunatyk”, wbrew nie- którym pozorom w nikłym stopniu wywodzi się z atmosfery „doku- mentu”, jest to film od początku do końca inscenizowany. A prze- cież temat „Lunatyków” — który to film najpewniej zostanie nazwa- ny „historią szalki młodocianych chuliganów” — zdaje się wręcz narzucać widzeniu typu dokumen- talnego, mającego w tym gatunku swą klasykę i swe piewowzory. Koncepcja Poręby stanowi więc odszycie od klasycznego wzorca. Jest to na pewno odszycie od ba- zycznego, znacznego ryzyka artystycznego. Trudno bowiem zrobić film, który byłby wymyślony od początku do końca — a jednak prawdziwy. Tym bardziej trudno, gdy temat jest nie- tylko najsłabszym, ale i niejednorodnym, jak w tym przypadku, — to film świadomie nieelektryczny. Zarówno dzięki re- żygnacji z dynamicznymi ujęć na

reżysera „Lunatyk”, wbrew nie- którym pozorom w nikłym stopniu wywodzi się z atmosfery „doku- mentu”, jest to film od początku do końca inscenizowany. A prze- cież temat „Lunatyków” — który to film najpewniej zostanie nazwa- ny „historią szalki młodocianych chuliganów” — zdaje się wręcz narzucać widzeniu typu dokumen- talnego, mającego w tym gatunku swą klasykę i swe piewowzory. Koncepcja Poręby stanowi więc odszycie od klasycznego wzorca. Jest to na pewno odszycie od ba- zycznego, znacznego ryzyka artystycznego. Trudno bowiem zrobić film, który byłby wymyślony od początku do końca — a jednak prawdziwy. Tym bardziej trudno, gdy temat jest nie- tylko najsłabszym, ale i niejednorodnym, jak w tym przypadku, — to film świadomie nieelektryczny. Zarówno dzięki re- żygnacji z dynamicznymi ujęć na

reżysera „Lunatyk”, wbrew nie- którym pozorom w nikłym stopniu wywodzi się z atmosfery „doku- mentu”, jest to film od początku do końca inscenizowany. A prze- cież temat „Lunatyków” — który to film najpewniej zostanie nazwa- ny „historią szalki młodocianych chuliganów” — zdaje się wręcz narzucać widzeniu typu dokumen- talnego, mającego w tym gatunku swą klasykę i swe piewowzory. Koncepcja Poręby stanowi więc odszycie od klasycznego wzorca. Jest to na pewno odszycie od ba- zycznego, znacznego ryzyka artystycznego. Trudno bowiem zrobić film, który byłby wymyślony od początku do końca — a jednak prawdziwy. Tym bardziej trudno, gdy temat jest nie- tylko najsłabszym, ale i niejednorodnym, jak w tym przypadku, — to film świadomie nieelektryczny. Zarówno dzięki re- żygnacji z dynamicznymi ujęć na

reżysera „Lunatyk”, wbrew nie- którym pozorom w nikłym stopniu wywodzi się z atmosfery „doku- mentu”, jest to film od początku do końca inscenizowany. A prze- cież temat „Lunatyków” — który to film najpewniej zostanie nazwa- ny „historią szalki młodocianych chuliganów” — zdaje się wręcz narzucać widzeniu typu dokumen- talnego, mającego w tym gatunku swą klasykę i swe piewowzory. Koncepcja Poręby stanowi więc odszycie od klasycznego wzorca. Jest to na pewno odszycie od ba- zycznego, znacznego ryzyka artystycznego. Trudno bowiem zrobić film, który byłby wymyślony od początku do końca — a jednak prawdziwy. Tym bardziej trudno, gdy temat jest nie- tylko najsłabszym, ale i niejednorodnym, jak w tym przypadku, — to film świadomie nieelektryczny. Zarówno dzięki re- żygnacji z dynamicznymi ujęć na